

● PŁATA POCZTOWA RYCZAŁTEM

Nr. 93 BIBLIOTECZKA Nr. 93
HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA

BORYS SAWINKOW.

Z cyklu „ROSJA NA RUBIEŻY”.

Jak zabiliśmy ministra Plehwego?

*Nie kłamać —
bawiąc.*



*Nie nudzić —
ucząc.*

T-wa Wyd. „Rój” s. z o. o.
Warszawa. Kredytowa 1. P. K. O. 9880.

K-82/88

Borys Sawinkow — to symbol ducha — rewolucjonisty Rosji. Życie całe walcząc z caratem, z równą pasją, następnie zakłada miny pod tron czerwonych carów. W 1920 r. z wojskami naszymi ramie w ramie, z karabinem w dłoni, walczy pod Radzyminem.

Wciągnięty przez bolszewików w zasadzkę, ginie w ich więzieniu śmiercią zagadkową i tragiczną.

Pozostałe po nim pamiętniki publikują bolszewicy; podajemy z nich fragment.

O ile otrzymamy od czytelników słowa zainteresowania, będziemy mogli podać dalsze ustępy: 1) zabójstwo w. ks. Sergiusza, 2) sprawa Azefa i t. d.

REDAKCJA.

UCIECZKA.

W początkach 1902 roku byłem zesłany administracyjnie do Wołogdy z powodu sprawy sądowej z procesu grup socjalistycznych „Socjalista” i „Sztandar Robotniczy”.

W Wołogdzie wstąpiłem do miejscowej partii socjalistów — rewolucjonistów i wtedy po raz pierwszy zaznajomiłem się z ideą terroru.

W czerwcu 1903 roku uciekłem zagranicę. Przyjechawszy do Archangielska, pozostawiłem walizę na przechowanie na dworcu i skierowałem się pod wskazanym mi przez organizację adresem. Miałem tam otrzymać informacje w jaki sposób można się przesmugłować do Norwegii. Dowiedziałem się, że za godzinę właśnie wyrusza do Norwegii parowiec „Cesarz Mikołaj I”. Nie miałem już czasu wracać po swoją walizę i, tak jak stałem, bez paszportu i bez rzeczy, przemknąłem się nieznacznie do kajuty 2-ej klasy.

Na piątą dobę, kiedy okręt zawijał do



przystani Waranger, podszedłem do młodszego szturmana.

— Jadę do Pieczeńgi (ostatni port przed granicą norweską), ale chciałbym być w Warde (pierwszy port norweski), czy można by to urządzić?

Szturman spojrzał uważnie na mnie.

— A czy pan z rybnej branży?

— Z rybnej.

— Pewnie, że można. Czemużby nie?

— Nie mam zagranicznego paszportu.

— POCO panu paszport? Zeszedłszy z pokładu, przenocuje pan w moim domu, a świtaniem wróci pan wraz z nami do Pieczeńgi. Niech pan tylko bilet kupi.

I w ten oto sposób niebawem znalazłem się w Genewie, gdzie poznałem całe środowisko rewolucyjne.

Pewnego dnia, kiedy mego szlafkamrata nie było w domu, wszedł do naszego pokoju człowiek, mogący liczyć 33 lata. otyły, o szerokiej, martwej, niby z kamienia ciosanej i nieruchomej twarzy, o wielkich czarnych oczach.

Był to Eugenjusz Azef.

Przyszedł mnie wybać i zapytać o to, co sądzę o akcji terrorystycznej.

Od tego czasu nawiedzał mnie niejednokrotnie. Małomówny — słuchał zwykle uważnie. Pewnego dnia rzekł:

— No, czas już jechać do Rosji. Wyjeżdżajcie z drugim towarzyszem gdzieś z Genewy, pomieszkajcie w jakimś małym miasteczku i zaobserwujcie, czy też was nie śledzą.

Następnego dnia wyjechaliśmy do Fryburga. Po upływie dwóch tygodni odwiedził nas Azef i po raz pierwszy zakomunikował nam plan zamachu, nie wymieniając zupełnie kto w nim będzie uczestniczyć. Plan był następujący: wiadomem było, że Plehwe mieszka w gmachu departamentu policji (Fontanka 16) i codziennie jeździ z raportami do cara do Zimowego Dworca, do Carskiego Sioła, albo też do Peterhofu, co zależało od pory roku i od miejsca pobytu cara. Ponieważ zabić Plehwego na ulicy było wiele łatwiej niż w domu, postanowiono roztoczyć nad nim nadzór nieustający. Nadzór ten miał nas doskonale zorientować co do rozkładu dnia Plehwego, godzin jego wyjazdu i wyglądu jego karety i otoczenia. Mając te dane, mieliśmy przystąpić do ostatecznego aktu — rzucenia bomby. Ponieważ minister był strzeżony nadzwyczaj gorliwie, do jego śledzenia potrzebni byli ludzie, znajdujący się z powodu swoich zajęć stale na ulicy, na przykład gazeciarze, dorożkarze, handlarze uliczni i t. d. Postanowiono więc, że jeden towarzysz kupi dorożkę i konia i

zacznie cyrkulować po Petersburgu jako dorożkarz, drugi zaś wykupi patent na sprzedaż uliczną papierosów. Mnie było poruczeniem zbierać od nich informacje i kierować całym nadzorem.

Plan powyższy powstał w głowie Azefa; był on niezwykle prosty. Ale właśnie dzięki swojej prostocie dawał nam wielkie fory wobec policji. Obserwacja uliczna nigdy jeszcze nie była stosowana przez rewolucjonistów. Trudno było przypuścić, żeby policja wpadła na myśl, że członkowie bojowej organizacji jeżdżą jako dorożkarze po mieście, albo też handlują papierosami.

To też, kończąc rozmowę ze mną, Azef wyrzekł z przekonaniem:

— Jeśli nie będzie prowokacji, Plehwe będzie zabity.

Jeden z towarzyszy, wziąwszy ze sobą rękę piorunującą, wyjechał do Rosji.

W początkach listopada i ja się znalazłem w Petersburgu, nie znając ani składu organizacji, ani haseł partyjnych, ani adresu. Czekałem na Azefa: obiecał przyjechać bezpośrednio po mnie.

DZIENDOBRY — PANIE SIEMASZKO!..

W Petersburgu stanąłem w hotelu „Północnym“, zameldowawszy się paszportem na imię niejakiego Siemaszki. Teżoż samego dnia wieczorem poszedłem na umówione spotkanie z towarzyszem, który wyruszył do Rosji przede mną. Miał on oczekiwania mnie codziennie na ulicy Sadowej, na odcinku pomiędzy Newskim Prospektem i Grochową.

Kiedym już zaczynał tracić nadzieję, jakiś głos odezwał się za mną:

— Barin kupcie papierosy „Gołabek“ — po pięć kopiejek dziesiątek.

Obejrzałem się. Ten, kogo szukałem, stał przede mną w półkożuszku, opiętym białym fartuchem, niemyty, niegolony, o pobladlej twarzy. Na ramionach dźwigał kramik z papierosami, zapalkami, portmonetkami i różnemi drobiazgami. Niby to coś kupując, szeptem rzuciłem mu adres traktjerni i godzinę, w której mieliśmy się spotkać. W dwie godziny później siedzieliśmy już w brudnej garkuchni. Opowiedział mi, że wspólnie z „dorożkarzem“ śle-

dzą dom Plehwego i raz już udało się im widzieć jego karetę: czarne konie, stangret z medalami na piersi, przy nim lokaj w libberji, za karetą zaś ubezpieczenie—dwóch szpicli, pomykających karym rysakiem.

Mój towarzysz był zadowolony z rezultatów, ale uskarżał się na „fach papirosiarza”. Pędzała go policja z miejsca na miejsce i musiał staczać boje z konkurentami. Zazdrościł „dorożkarzowi” którego nikt się nie czepia. Tamten jednakże, kiedy się z nim zobaczyłem, uskarżał się że musi być ciągle do rozporządzenia publiczności, co go odciąga od obserwacji.

Minęło sześć tygodni i Azef wciąż nie przyjeżdżał. Obserwacje swoje prowadziśmy sumiennie, ale nerwy nasze były coraz bardziej napięte (okazało się później, że Azefa zatrzymały sprawy związane z techniką dynamitową zagranicą).

Jeździłem dowiedzieć się czegoś o Azefie do Wilna, ale tam również nic się nie dowiedziałem. Zrezygnowany, wróciłem do Petersburga i stanąłem w pokojach umeblowanych „Rosja” na ulicy Mojka.

Pewnego dnia ktoś otworzył zlekka drzwi mego numeru, w których ukazała się jakaś głowa, cofnęła się szybko, poczem zapukano.

Do numeru wszedł brudny, nędznie ubrany żyd, mogący liczyć lat czterdzieści.

Wyciągnawszy ku mnie rękę, powiedział:

— Dzieńdobry, panie Siemaszko!...

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Po chwili milczenia, widząc że się nie odzywam, kontynuował:

— Jestem wilnianin: ja też przyjechałem z Wilna.

Zrozumiałem, że mógł wiedzieć o mojej podróży z Wilna, albo obserwując mnie w drodze, albo spostrzegłszy na moim paszporcie wileńską wizę. Paszport mój był u portjera, który pokazać go mógł jedynie policji. Dlatego nie miałem żadnej wątpliwości, że mam przed sobą szpicla.

— Niech pan siada. Czem mogę służyć?

Przybysz usiadł za stołem, plecami do okna. Musiałem więc się odwrócić twarzą do światła. Gość oparł głowę na dłoń i uśmiechając się, uważnie wpatrywał się we mnie. Powtórzyłem więc zapytanie.

— Czem mogę służyć?

Odpowiedział mi, że nazywa się Haszkes, jest redaktorem i wydawcą gazety handlowo - przemysłowej i prosi mnie o współpracownictwo.

Odpowiedziałem ostro:

— Nie jestem dziennikarzem. Jestem reprezentantem domu handlowego.

— Co to potrzebuje znaczyć, że pan nie dziennikarz? Co potrzebuje znaczyć,

że pan jest przedstawicielem firmy? Nu—
od jakie firmy ma pan reprezentację?

Wstałem.

— Przepraszam pana, panie Haszkes,
ale nie widzę, czem mógłbym być panu
pożyteczny.

Wyniósł się; podążyłem za nim.

Na ulicy spostrzegłem Haszkesa, pochłoniętego oglądaniem wystawy jubilerskiej. O dom dalej dwóch zuchów w wysokich butach i czapkach karakułowych kontemplowało witrynę z damskimi okryciami.

Wziąłem na prawo i zdecydowanym krokiem minąłem Haszkesa. Ten ostatni odlepił się od okna wystawowego i uśmiechając się bezczelnie, podążył za mną. Wsiadłem do dorożki; Haszkes niezwłocznie wsiadł do drugiej. Zrozumiałem, że zaraz będę aresztowany.

Więcej niżli trzy godziny kursowałem po Petersburgu, przerzucając się z dorożki na dorożkę, z tramwaju na tramwaj.

Wieczorem znalazłem się daleko za rogatkami, pośród ogrodów i pustaci. Naokoło nie było ani żywego ducha. Zdecydowałem się zakomunikować towarzyszom o tem, co mnie spotkało i nie wracać już do hotelu. Postanowiłem również nie oczekiwać już więcej Azefa: paszport Siemaszki, najwidoczniej, był już znany policji, in-

nego nie miałem, a przemieszkować czas dłuższy bez paszportu było zbyt wielkiem ryzykiem. Przeszedłem ulicą Sadową i mijając papirosiarza, rzuciłem mu, że jestem śledzony. Teżże nocy wyjechałem z Petersburga.

Jeden z towarzyszy uprzednio jeszcze podał mi na wszelki wypadek adres jednej żydówki w Suwałkach, przy pomocy której można było przeszwarować się przez granicę. Kosztowało to 13 rubli, w czym był już opłacony żołnierz straży pogranicznej.

W ten sposób po raz już drugi zameldowałem się u władz partyjnych w Genewie. Wyraziłem zdziwienie, że nie mogliśmy się doczekać Azefa w Petersburgu, stwierdziłem, że, pozostawieni własnym siłom, nie jesteśmy w stanie wykonać zamachu, że o wielebym wolał pracować samodzielnie w jakiejś mniejszej sprawie, naprzykład przy przygotowywaniu zamachu na kijowskiego generał-gubernatora Klejgielsa.

Odpowiedziano mi, że Azef już się udał do Rosji, że jeśli nie miałem wiadomości, to z mojej własnej winy, dałem bowiem niedokładny adres, pod którym nie dochodziły wieści. W konkluzji — kazano mi jechać do Rosji zpowrotem. Replikowałem, że nie znając ludzi, nie mając adresów, ha-seł i t. d., znowu narażę siebie i dwóch moich towarzyszy na bezpłodne oczekiwania.

Wtedy zaznajomiono mię ze stanem organizacji bojowej; dowiedziałem się, że oprócz mnie i dwóch moich towarzyszy należy do niej jeszcze niejaki Pokotiłow i dwaj byli studenci: Szwajcer i Sazonow. Szwajcer (pseudonim partyjny „Paweł”) i Potokiłow („Aleksiej”) oczekiwali, będąc już zaopatrzeni w dynamit, na Azefa. Szwajcer czekał w Rydze, Pokotiłow w Moskwie. Sazonow („Abel”) mieszkał w Twerze, ucząc się rzemiosła dorożkarskiego; miał zostać dorożkarzem w Petersburgu. Nie znałem osobiście ani Szwajcera ani Sazonowa, ale uświadamiałem sobie wyraźnie, że jest niemożliwością z takimi małymi siłami wysledzić i zabić Plehwego, zwłaszcza że Szwajcer i Pokotiłow nie mieli uczestniczyć w obserwacji ulicznej. Wtedy na moje prośby dodano mi bawiącego w Genewie młodego rewolucjonistę, niejakiego Kalajewa.

NIEUDANY ZAMACH.

W Moskwie minęło mi kilka dni na oczekiwaniu Azefa. Kalajew i ja, mieszkaliśmy w różnych hotelach i spotykaliśmy się tylko zrzadka wieczorami.

W końcu stycznia przyjechał do Moskwy Azef. Ujrawszy mnie, zapytał:

— Jakaście śmieli wyjechać z Petersburga?

Odpowiedziałem, że wyjechałem dlatego, że nie miałem od niego wiadomości i dlatego, że mój paszport został wsypany.

Azef zmarszczył się i powiedział:

— A pomimo to nie mieliście prawa wyjechać.

— A wyście mieli prawo, obiecawszy swój przyjazd w ciągu trzech dni, pozostawać za granicą z górą miesiąc?

— Zatrzymały mnie sprawy partyjne.

— Nic mnie to nie obchodzi; w każdym razie porzuceni byliśmy przez was w Petersburgu.

— Obowiązkiem waszym było śledzić Plehwego. Czyście śledzili?

Opowiedziałem mu o rezultatach naszych obserwacji.

— To bardzo niewiele. Bądźcie łaskawie jechać natychmiast zpowrotem do Petersburga.

Odpowiedziałem, że w tym tylko celu wróciłem do Rosji. Dodałem, że przyjechał też ze mną Kalajew i że jeszcze jeden zdecydowany towarzysz oczekuje na wezwanie w Genewie.

Postanowiliśmy, że Kalajew odnajdzie dwóch towarzyszy, z którymi pracowałem uprzednio w Petersburgu i że obydwaj zostaną tam dorożkarzami. Azeł delegował mnie do Moskwy i Rygi dla ściągnięcia Pokotilowa i Szwajcera.

Postanowiono również ściągnąć towarzysza oczekującego w Genewie, narazie do Nowogrodu.

Pokotilow mieszkał w hotelu „Paryż”, na ulicy Twerskiej. Posłałem mu list, naczynający spotkanie w restauracji „Jar”. W „Jarze” ledwo go poznałem. Zamiast typowego genewskiego emigranta stanął przede mną bogaty rosyjski barin o bladej twarzy z długą wypięłgnowaną złotą brodą. Nawet egzemy, na którą cierpiał, nie znać było. Opowiedział mi tego wieczora swoją biografję.

— Wiecie — mówił — chciałem zabić Bogolepowa, Karpowicz mnie uprzedził...

Potem — Bałmaszow... Powiedziałem, że nie mogę więcej czekać, że pierwszy zamach należy do mnie. Przyjeżdżał do Poltawy Gerszunin. Było postanowione, że Oboleńskiego ja zabiję. Szykowałem się do tego... Wtem dowiaduję się, że nie ja, a Kaczura... Kaczura — robociarz, więc mu dali pierwszeństwo. Strzelał on, a nie ja... A teraz Plehwe. Nikomu nie ustąpię. Pierwsza bomba — należy do mnie. Za długo czekałem. Mam na to prawo.

Mówił z wielkiem podnieceniem i na czoło wystąpiły mu drobne kropelki krwi; egzema. Pił dużo, ale się nie podchmiał. Mówił tylko z coraz większym przejęciem:

— Wierzę święcie w powodzenie. Ale strasznie ciężko czekać. Ileż czasu czekam już w Moskwie i przechowuję dynamit. To jest niemożliwość tak się ciągle męczyć w oczekiwaniu. Już dłużej nie wytrzymam.

W odpowiedzi zakomunikowałem mu rozkaz Azeła, ażeby jechał z dynamitem do nadbałtyckiego kurortu Zegewolt i tam oczekiwał dalszych instrukcyj.

W początku lutego, zajechawszy wprzód do Rygi, gdzie już nie zastałem Szwajcera, który już wyjechał do Petersburga, znalazłem się i ja w stolicy.

Azeł polecił mi przyjść w nocy na bal kostjumowy w Klubie Kupieckim, gdzie

miał mnie zaznajomić z nowymi towarzyszami. Azef zawsze kazał nam się spotykać w miejscach publicznych, gdzie łatwo było utonąć w tłumie, nie zwracając uwagi szpicli. Niesłuchanie śmiały w swoich planach, był jeszcze bardziej ostrożny w ich przeprowadzaniu.

O naznaczonej porze zjawiłem się na maskaradę. Zobaczyłem, jak wszedł Azef i przywitał się z niewysokim, muskularnym, wykwintnie ubranym młodzieńcem, mogącym mieć 25 lat. Młodzieniec miał podstrzyżone wąsy i przypominał wyglądem cudzoziemca. Był to Szwajcar, który zamieszkiwał Petersburg za angielskim paszportem.

Szwajcar od pierwszego wejrzenia robił wrażenie człowieka zrównoważonego i skupionego w sobie. Nie było w nim tego zapału, który promieniował z Pokoziłowa i Kalajewa, ale jego zrównoważony sposób mówienia, powolność i spokojna pewność siebie sądów, zyskiwały mu zaraz przy pierwszym spotkaniu uznanie otaczających.

W kilka dni później poznałem po raz pierwszy Sazonowa. Było umówione, że towarzysze Maciejewski i Sazonow, jako dorożkarze, obaj będą oczekiwali mnie na rogu Wielkiego Prospektu i „Szóstej Linji” Wasiljewskiej Wyspy, przyczem, ażebym mógł poznać Sazonowa, stanie on bez-

pośrednio za dorożką Maciejewskiego. Już zdala ujrzałem Maciejewskiego na koźle. Miał elegancką dorożkę, sytego konia, piękną uprząż. Wraz ze swemi podkręconemi węsikami i czapką na bakier doskonale grał rolę petersburskiego franta — „lichacza”. Za nim stała nędzna drynda, zaprzężona w zbidniałą szkapę. Jej właściciel miał młodą, wesołą twarz i czarne śmiejące się oczy. Sposób jego pochylenia na koźle, wygląd szkapy, liberji i dorożki — były tak typowe, że miałem wątpliwości, czy ów pocziwiec jest tym „Ablem”, o którym słyszałem od Azefa. Wpatrywał się we mnie wesoło i uważnie, a Maciejewski nieznacznie uśmiechnął się do mnie i kiwnął głową. Wtedy podszedłem do dorożkarza i powiedziałem umówiony parol:

— Jedźcie na Znamienkę.

— Takiej ulicy, barin, niema. Taka ulica jest w Moskwie, — odpowiedział Sazonow, śmiejąc się oczami. Pojechaliśmy, gdzie oczy poniosą. Konisko ledwo powłoczyło nogami. Sazonow obracał się ku mnie z kozła i w sposób żartobliwy opowiadał o swoim dorożkarskim życiu. Młoda jego dzielna twarz tchnęła spokojem i wesołością. Kiedym się z nim rozstał i dorożka skryła się za rogami, poczułem silną chęć ujżenia raz jeszcze tych



119815

wesołych oczu i posłyszenia tego równego, pewnego siebie głosu.

Obserwacja nasza stwierdziła, że Plehwe codziennie o godz. 12 w południe jedzie z raportem do cara, który wówczas zamieszkiwał w Pałacu Zimowym. Powracał albo tą samą drogą, albo wzdłuż ulicy Pantelejmonowskiej. Projektowaliśmy sobie przyłapać go w drodze. Pokoziłow, zaopatrzony w dwie bomby, miał wystąpić pierwszy, Boryszański, również z dwiema bombami, lokował się bliżej Newy. Sazonow z bombą pod fartuchem dorożki, wartował nawprost gmachu Departamentu Policji zwrócony twarzą ku Newie. Również twarzą ku Newie, po drugiej stronie placyku przed gmachem Departamentu Policji stał Maciejewski. Miał on widok na perspektywę ulicy Pantelejmonowskiej i, zdejmując czapkę przy zbliżaniu się karety Plehwego, powinien był przez to dać znak Sazonowowi. Wreszcie, na „Cepnym” moście, mając również otwartą perspektywę na Pantelejmonowską, stał Kalajew, będąc widocznym zarówno przez Pokoziłowa, jak i Sazonowa. W jego obowiązkach leżało dać znak obu, o ileby Plehwe powracał wzdłuż Litejnego Prospektu.

Szesnastego spotkałem się dla ułożenia ostatecznego wszystkich szczegółów z Pokoziłowem i Szwejcerem. Naznaczyliśmy

sobie spotkanie na cmentarzu. Szwejcer we właściwy sobie spokojny i zrównoważony sposób omawiał szanse zamachu. Miał on trudne zadanie przed sobą — w ciągu jednej nocy powinien był przygotować 5 bomb i rozdać je rano zamachowcom. Pokoziłow, jak zwykle, gorączkował się. Wyrażał pewność, że Plehwe „wyjdzie” (mówiąc myśliwskim językiem), nie na Boryszańskiego, a na niego. Nastawał na to, a żeby Boryszański, gdyby na niego wyjechał Plehwe, rzuciwszy bomby, uciekał nie w zaułek, a wprost na niego; że on swoimi bombami potrafi obronić zarówno Boryszańskiego, jak i siebie. W czasie naszej rozmowy wkroczył na cmentarz oddział policji. Pokoziłow wyjął rewolwer i szybkimi krokami ruszył w jego kierunku. Szwejcer czekał spokojnie na miejscu, z ręką w kieszeni, w której miał rewolwer. Z trudem dogoniłem Pokoziłowa. Odwrócił się ku mnie i szepnął:

— Uciekajcie wraz z Pawłem, ja ich przetrzymam przez kilka minut.

Schwyciłem Pokoziłowa za rękę.

— Co robicie? Schowajcie rewolwer.

Chciał mi coś odpowiedzieć, ale w tej samej chwili policjanci skręcili w inną stronę; widocznie sprowadziła ich jakaś zupełnie inna sprawa.

Noc z 17 na 18 marca aż do samego ra-

na spędziłem z Pokoziłowem w kabarecie. Rozstaliśmy się około 8 rano; o 10 zaś już rano, na szesnastej linii Wasiljewskiej wyspy Szwajcar powinien był wręczyć bombę zamachowcom. Miał podjechać do umówionego domu w dorożce Sazonowa. Do dorożki powinien był wsiąść Pokoziłow, przejechać do mostu Putkowa, tam zaś, zabrawszy swoją bombę, wysiąść z dorożki. Na jego miejsce miał wsiąść oczekujący na moście Putkowa Boryszański, ten również, zabrawszy bombę, miał wysiąść razem ze Szwajcercem, w dorożce zaś miała zostać ostatnia bomba — dla Sazonowa.

Boryszański punktualnie o oznaczonej godzinie zjawił się na moście Putkowa. Widziałem, jak Szwajcar podjechał do Pokoziłowa i jak Pokoziłow wsiadł do dorożki.

O godzinie 12 wszedłem do Letniego Ogrodu, i siadłszy na ławeczce, w alejce równoległej do Fontanki, jak to było umówione, zacząłem oczekiwać Sazonow, Pokoziłow, Boryszański, Maciejewski i Kalajew rozstawili się na swoich stanowiskach. Minęło długie pół godziny oczekiwania.

Nagle rozległ się huk. Poderwałem się na nogi. Na tamtym brzegu Fontanki życie uliczne płynęło normalnym trybem i przechodnie nie okazywali zaniepokojenia. Okazało się, że to strzał armatni w fortecy Petropawłowskiej obwieszczał południe.

W tejże samej chwili w bramie ogrodowej ukazał się Pokoziłow. Był przeraźliwie błądy i szybko szedł ku mnie. W kieszeniach jego futra wyraźnie rysowały się kontury bomby. Podeszedłszy do mojej ławki, ciężko siadł na niej.

— Nic z tego: Boryszański uciekł.

— Kto uciekł?

— Boryszański.

— To niemożliwe.

— Widziałem sam: uciekł!

Wyszedłem z Pokoziłowem z Letniego Ogrodu. Na „Cepnym” moście, oparłszy się o poręczę, ze wzniesioną wysoko głową i z oczami, wbitemi w Pantelejmonowską ulicę, stał Kalajew. Spojrzał ze zdziwieniem na nas, ale nie ruszył się z miejsca. Dotychczas nie mogę zrozumieć, jakeśmy się nie wsypali wtedy. Kalajew do tego stopnia rzucał się w oczy, tak jego naprężona poza i skoncentrowane wpatrywanie się w Pantelejmonowską wyróżniało go z pośród publiczności, że nie mogę zrozumieć, w jaki sposób szpicle, od których rola się Fontanka i most, nie zwrócili na niego uwagi. Później on sam nam się zwierzał, że był pewny, że go aresztują, że nie mogą nie aresztować człowieka, przez całą godzinę wystającego przed domem Plehwego i obserwowającego jego drzwi wejściowe. A jednak, aczkolwiek myślał w ten sposób, ze-

szedł ze stanowiska ostatni, wtedy, kiedy już i Sazonow z Boryszańskim odjechali swojemi dorożkami.

Zaledwośmy wraz z Pokoziłowem przebyli most, gdy stójkowi i szpicle poczęli się miotać i od Newy ku Fontance ostrym kłusem przejechała karetą zaprzężona w czarne konie, z lokajem w liberji na koźle. W oknie jej zamajaczyło oblicze Plehwego pełne namaszczenia. Pokoziłow porwał za bombę, ale karetą była już daleko i zbliżała się do Sazonowa. Znieruchomieliśmy, oczekując wybuchu. Karetą jednak, zawróciwszy tuż koło dorożki Sazonowa, wpadła w rozwartą bramę pałacu i znikła nam z oczu. Wtedy powróciłem do Kalajewa, i poleciłem mu iść na miejsce, na którym już uprzednio umówiliśmy się spotkać, w razie niewypełnienia zamachu. Pokoziłow podszedł do Sazonowa i chciał zająć jego dorożkę. Widziałem, że Sazonow kręci głową przecząco. Wtedy i ja zbliżyłem się do nich:

— Dorożkarz!

— Zajęty.

— Dorożkarz!

— Zajęty.

Zamilkłem, patrząc ze zdumieniem w twarz Sazonowa. Był bardzo bladym. Szepnąłem:

— Zabierajcie się stąd!

Ale on znowu poruszył przecząco głową. Minałem go i skierowałem się do Maciejewskiego, od którego posłyszałem to samo:

— Zajęty.

Obejrzałem się na „Cepny“ most: Kalajew wciąż jeszcze tkwił na nim.

Tak oto oczekiwali oni, już bez wszelkiej nadziei, jeszcze przez pół godziny.

Gaffa Sazonowa wynikała z takiego drobnego zbiegu okoliczności, którego nigdy nie można ominąć z całą pewnością. Jak to było umówione, Sazonow stanął o godzinie 12-ej na swoim miejscu, twarzą ku Newie, tak, żeby widzieć Maciejewskiego oraz jezdnię Fontanki. Ciężki siedmiofuntowy pocisk trzymał na kolanach, pod fartuchem dorożkarskim, a żeby rzucić bombę, należało odpiąć fartuch, co wymagało kilku sekund czasu. Stojąc na vis-à-vis pałacu Plehwego i odmawiając publiczności, Sazonow ściągnął na siebie kołnierz innych dorożkarzy. Z całego ich długiego szeregu wyróżniał się tem, że stał zwrócony w inną stronę, podczas gdy głowy wszystkich innych koni zwrócone były w stronę cyrku. Wreszcie owe kołnierz zmusił go do ustawienia dorożki, tak jak i inni, inaczej bowiem ściągnąłby na siebie podeirzenie: ale w ten sposób stracił z oczu Maciejewskiego i nie miał go kto uprze-

dzie. Karetą Plehwego przemknęła koło niego tak szybko, że, nim zdążył wydobyć bombę, już było za późno.

To pierwsze niepowodzenie wiele nas nauczyło. Zrozumieliśmy, że na przyszłość trzeba się będzie siedem razy przymierzyć, nim się raz odetnie.

ŚMIERĆ POKOŃLOWA I NOWY PLAN.

Było umówione, że po akcji spotkamy się na ulicy Sadowej w restauracji „Biegun Północny”. Idąc do niej, już po drodze spotkałem Boryszańskiego.

— Towarzyszu Abramie — uciekliście? — zapytałem.

Podniósł na mnie wielkie marzące oczy. Powtórzyłem pytanie. Wtedy odparł:

— Tak jest, uciekłem.

— Jakżeście mogli zrobić coś podobnego?

Boryszański nic nie odpowiedział. Patrzyłem długo na jego spokojną, niby z kamienia, twarz. Wreszcie spytałem:

— Mówcie, dlaczegoście uciekli?

— Co za pytanie... Jeżeli was śledzą, to nie będziecie uciekać?

— Śledzili was?

— Jeżeliby nie śledzili, tobym nie uciekł.

W tejże chwili wszedł do restauracji Kalajew. Wzburzony, spytał:

— Dlaczegoście uciekli?

Boryszański spojrzał na niego:

— Cobyście zrobili, gdyby was otoczyli szpicle?

Kalajew zamilkł. Nie mieliśmy wątpliwości, że Boryszański mówi prawdę. Tkwić z bombą pomiędzy szpiclami dłużej, znaczyło to narażać na pewną zgubę i siebie i towarzyszy i całą sprawę.

A więc zamach się nie udał. Mieszkać dłużej w Petersburgu, było dla członków organizacji bojowej niecelowe i niebezpieczne. Szwajcar tegoż samego dnia wyjechał wraz z dynamitem do Libawy, Boryszański do Berdyczowa, Kalajew do Kijowa, Pokoziłow do Dynaburga, w którym miał oczekiwać na rezultat zamachu Azef. Ja pozostałem jeszcze na jeden dzień w Petersburgu, a wieczorem spotkałem się z Sazonowem.

Pojechaliśmy razem na Wyspy. Na wybrzeżu morskiem zdecydowałem się wreszcie przemówić.

— Słuchajcie, dlaczegoście nie chcieli odjechać od domu Plehwego?

Sazonow odwrócił się z kozła ku mnie:

— Bo miałem nadzieję, że on **znowu** pojedzie

— Wiedzieliście przecie dobrze, że tego nie należało oczekiwać?

— Tak... naturalnie... — i machnął ręką.

Pojechałem do Dynaburga. Na dworcu spotkał mnie Pokoziłow. Okazało się, że Azefa w Dynaburgu nie zastał.

Dopiero później Azef objaśnił, że zauważył w Dynaburgu, że go śledzą i, zacierając ślady, trzy tygodnie jeździł po Rosji. Naówczas nieobecność jego w tak ważnej chwili mogliśmy tłumaczyć sobie tylko tem, że został aresztowany.

Uważając, że bez Azefa aparat bojowej organizacji jest zbyt słabo zlutowany, uważałem, że nie należy teraz porywać się na duże rzeczy, a należy zorganizować jakiś mniejszy „prowincjonalny” zamach i dopiero nabrawszy wprawy, powrócić do sprawy Plehwego. Kalajew i Szwajcar podzielali moje zdanie, ale Boryszański i Pokoziłow rwali się do powtórzenia próby petersburskiej. Wówczas przyjęliśmy decyzję kompromisową, jak zwykle najgorszą. Szwajcar i Kalajew wraz ze mną udali się do Kijowa, ażeby polować na Klejgielsa, zaś Boryszański i Pokoziłow udali się do Petersburga, ażeby łącznie z Sazonowem i Maciejewskim w dalszym ciągu próbować zamachu na Plehwego

31-go marca, nocą w hotelu „Północnym”, przygotowując po raz drugi bomby (bo raz już napróżno je naładowano i zamachowcy bez rezultatu zesłali ze stanowisk). Pokoziłow zginął od wybuchu. Na-

sze bomby miały nadzwyczajnie subtelny przyrząd zapalający: były zaopatrzone dwiema na krzyż położonemi rurkami, mieszczącemi w sobie materiały zapalne i eksplodujące. Pierwsze — były to rurki szklane wypełnione kwasem siarczanym, zaopatrzone w wyđęcia, na które były nasunięte ciężarki łożwiane. Te ciężarki przy upadku pocisku druzgotały szklane rurki, na skutek czego kwas siarczany wylewał się, zapalając mieszaninę soli Bertholeta i cukru. Zapalenie się tej mieszaniny powodowało najpierw wybuch rtęci piorunującej a wreszcie i dynamitu, którym wypełniony był pocisk. Niebezpieczeństwo, przed którym nie można było się ubezpieczyć polegało na tem, że przy nabijaniu bomby cieniuchne szkło rurek mogło łatwo prysnąć w rękach, powodując eksplozję.

O śmierci Pokoziłowa dowiedzieliśmy się z gazet kijowskich. Był to dla nas cios stokroć większy, niżli niepowodzenie z 18-go marca.

Z naszych zapasów dynamitu po śmierci Pokoziłowa została zaledwie czwarta część. Miał ją na przechowaniu Szwajcjer, ale cóż, kiedy można z tego było zrobić zaledwie jedną bombę. Uważaliśmy, że jedna bomba wystarczy dla zabicia Klejgielsa,

ale że nie wystarczy jeden miotacz dla zamachu na Plehwego. Po naradzie ze Szwajcjerem i Kalajewym, postanowiliśmy kontynuować sprawę Klejgielsa we trójkę, zaś towarzyszom petersburskim — Maciejewskiemu, Boryszańskiemu, i Sazonowowi postanowiliśmy nakazać wyjazd zagranicę. Nagle zjawił się w Kijowie Azeff i spotkałszy mnie na kwaterze konspiracyjnej, zagadnął obcesowo:

— Cóż to wymyśliliście nowego? Co za sens ma ten zamach na Klejgielsa? Dlaczego nie jesteście wszyscy w Petersburgu? Jakiem prawem pozwalacie sobie samowolnie zmieniać decyzje Centralnego Komitetu Partyjnego?

Azeff wysłuchał z wielkiem niezadowoleniem moich tłumaczeń:

— Jakto, nie rozporządzamy dostatecznymi siłami dla zamachu na Plehwego? — wybuchnął — śmierć Pokoziłowa? musicie przecież być przygotowani na wszelkie ewentualności. Powinniście być przygotowani do wyginięcia całej organizacji bojowej, aż do ostatniego człowieka. Czegóż wahacie się dłużej? Jeżeli niema ludzi, — należy ich znaleźć. Jeżeli niema dynamitu, należy go zrobić. Ale rzucić sprawy nie należy nigdy. Plehwe musi być zabity bądź co bądź. Jeśli my go nie zabijemy, nikt tego nie zrobi. Niechaj „poeta“ (Ka-

lajew) jedzie do Petersburga i każe Maciejewskiemu i „Ablowi” (Sazonowowi) pozostać na dawnych stanowiskach. „Paweł” (Szwajcjer) przygotowuje dynamit, a wy z Borysańskim pojedziecie do Petersburga na robotę. Postaramy się zwerbować jeszcze kilku.

Tegoż samego dnia jednakże powrócił z Petersburga Szwajcjer i zakomunikował, że, zgodnie z naszym poleceniem, Maciejewski i Sazonow sprzedali konie i dorożki i że Maciejewski pojechał do swej rodziny na prowincji, a Sazonow przez Suwałki wyrusza zagranicę. Kalajew ruszył niezwłocznie do Suwałk, ażeby go zatrzymać i skierować do Charkowa, gdzie miały odbyć się narady ostateczne. Szwajcjerowi dał Azef adres partyjnego inżyniera. Przy pomocy tego inżyniera powinien on być w laboratorium samorządowym spreparować pud dynamitu. Miał on przed sobą trudne zadanie. Należało w sposób nie rzucający się w oczy nabyć potrzebne materiały; przy robocie należało zachowywać jaknajściślejszą konspirację; wreszcie było koniecznem dawać sobie radę z urządzeniem laboratoryjnym, zupełnie nieprzystosowanym do tego rodzaju roboty. Szwajcjer dał sobie radę z tem wszystkim. Dzięki podrobionemu certyfikatowi, niby to dla samorządu zakupił potrzebne materia-

ły i sam jeden, raczej za wiadomością, niż przy pomocy owego sympatyka-inżyniera, przygotował niezbędną ilość dynamitu. Przy tej robocie omal nie zginął i uratował się tylko dzięki swojej zimnej krwi. Mieszając żelatynę, spreparowaną z krajowych nieczystych chemicznie materiałów, zauważył w niej symptomy rozkładu, co zapowiadało natychmiastowy wybuch. Nie myśląc wiele, schwycił stojący obok dzban z wodą i pośpiesznie począł lać, wprost trzymając go w rękę, wodę na żelatynę z wysokości kilku centymetrów. Strumień wody rozpryskał masę wybuchową, bryzgi żelatynowe pokryły prawą stronę jego ciała i wybuchowały na nim. Cierpiało na silne popalenie, ale zadania swego nie rzucił i dopiero przygotowawszy odpowiednią ilość dynamitu, pojechał do Moskwy, gdzie go położono do szpitala. W czerwcu przetransportowaliśmy cały ten dynamit do Petersburga.

Tak więc zjechaliśmy się obecnie w Charkowkie. Zebrał się komplecik ludzi wypróbowanych i gotowych na wszystko. Azef opracował plan następujący:

Maciejewski, Kalajew i Dulebow, rewolucjonista, któregośmy wówczas jeszcze nie znali, a który w 1903 roku zabił w Ufie gubernatora Bogdanowicza — mieli podjąć obserwację uliczną; Kalajew i jeszcze je-

den nowozwerbowany — jako papierosiarze, a Dulebom i Maciejewski jako dorożkarze. Ja miałem wynająć komfortowy apartament w Petersburgu, z żoną — towarzyszką Dorą Brylantówną i ze służbą: lokajem — Sazonowym i z kucharką — starą rewolucjonistką Iwanowską. Mieszkanie to miało cel podwójny. Po pierwsze, Sazonow i Iwanowska mieli być użyci dla obeserwacji ulicznych, a poza tem miałem nabyć automobil, niezbędny, według zdania Azefa, dla przygotowania zamachu. Szoferki miał się nauczyć Boryszański.

Sprawa rozwijała się doskonale. Azef tchnął w całą organizację nowego ducha.

Dulebowa poznałem w Moskwie; wręczył mi sześć niewielkich bomb typu macedońskiego, które z polecenia Azefa miałem zdeponować w safesie jakiegokolwiek banku. Kwit na ten safes znalazła następnie policja przy aresztowaniu Leontjewej i w maju 1905 roku skonfiskowała go.

Niebawem wszyscyśmy wyjechali z Moskwy: Azef w sprawach ogólnopartyjnych nad Wołgę, Brylantówna, Dulebow i ja — do Petersburga.

Dulebow nabył dorożkę i konia i przestoczył się w dorożkarza, ja zaś wraz z Brylantówną stanąłem w hotelu „Francja” i przede wszystkim ruszyłem na poszukiwanie Iwanowskiej.

Iwanowska zamieszkiwała na 5-em piętrze, w olbrzymiej kamienicy w robotniczej dzielnicy. Tam wynajmowała t. zw. „kąt” w robociarskiej rodzinie, meldując się jako Darja Kiryłowa. Windując się do niej po schodach, spotkałem jakąś starowinę, w chustce. Wyglądała tak typowo, że nie mogło mi przemknąć przez głowę, że to jest Iwanowska. Zatrzymałem staruszkę i zapytałem:

— Matulu, a gdzie tu mieszka Darja Kiryłowa?

— A toż ja jestem, kochaneńki — odpowiedziała.

Nie wierzyłem wciąż jeszcze. Staruszka mówiła gwarą ludową Petersburga. Sądziłem, że może wypadkiem natknąłem się na kobietę tego samego nazwiska. Iwanowska, widząc moje wahanie, uśmiechnęła się:

— Tak, tak — to ja. Chodźmy poga dać...

PRZYGOTOWANIA NA SZEROKĄ SKALĘ.

Wynająłem mieszkanie na ulicy Żukowskiego u jakiejś Niemki. Odgrywałem rolę bogatego Anglika, Dora Brylant — byłej śpiewaczki kabaretowej. Podawałem się jako reprezentant wielkiej angielskiej firmy rowerowej. Do tego stopnia odgrywałem dobrze swoją rolę, że gospodyni nasza kilkakrotnie czyniła Dorze propozycje wiele lukratywniejszej „posady”, dziwiła się, że nie widzi na niej biżuterji i pytała, jakie też sumy zdeponowałem w banku na rachunek Dory. Dora odpowiadała niezmiennie, że żyje ze mną z miłości, a nie z wyrachowania.

Teraz więc, zbliżywszy się bardziej, poznałem moich towarzyszy.

Brylantówna — była to dziewczyna milcząca, cicha, zamknięta w sobie; nie nawidziła morderstwa, trwogą i wstrętem przejmowała ją myśl o zabijaniu bliźniego, a przecież uważała zamach za niezbędny i prosiła, ażeby wręczyć jej bombę.

Sazanow był młody, zdrowy i silny.

Jego błyszczące oczy i zarumieniona twarz promieniały energją.

Iwanowska spędziła swoje męczeńskie życie na katorgach i zsyłkach. Na jej bladej, starczej i pomarszczonej twarzy jaśniały jasne, dobre, macierzyńskie oczy. Wszyscy bojowcy byli niby jej rodzone dzieci. Kochała ich wszystkich jednakowo. Cicho, sprawnie i w sposób nie rzucający się w oczy pełniła swoją robotę konspiracyjną w sposób artystyczny, pomimo swej starości i schorzenia.

Jako kucharka, Iwanowska weszła w dobrą komitywę ze stróżką i co rano starszy dozorca pijał u nas kawę w kuchni. Sazonow, jako nasz lokaj, czuł się jak u siebie w domu, w pokoiku portjera. Chwytał on każdą plotkę, która cyrkulowała w kamienicy. Ja sam miałem wygląd człowieka interesu, a Dora — śpiewaczki.

Codzień rano otrzymywałem przez szwajcara pocztę — przeważnie katalogi różnych firm technicznych, które sprowadzałem z Anglii, Francji i Niemiec. Potem wychodziłem „do zajęcia” — i włóczyłem się po mieście w nadziei zobaczenia Plehwego, co udawało mi się dosyć często. Nasza „służba” też zajęta była obserwacją uliczną.

Regularny tryb życia i sute napiwki stworzyły nam reputację pierwszorzędnych

lokatorów. O wszystkim, co mówi kamienica, byliśmy informowani przez Sazonowa. Trzeźwy, umiejący pisać, mający dobrą pensję, był on wymarzoną kandydatem na męża dla służących w całej kamienicy i przyjaźnił się z jej arystokracją — portjerem i starszym dozorcą.

W końcu maja przyjechał Azef. Wśliznął się wieczorem, niespostrzeżony przez szwajcara i stróża i mieszkał w naszym mieszkaniu przez 10 dni, nie wychodząc wcale.

W czasie jego bytności zaszedł wypadek następujący. Od kilku już dni spostrzegaliśmy, że po ulicy, nawprost naszego domu, krążą szpicle. Byliśmy pewni, że ściągnęła ich obecność Azefa. W takim razie lada chwila powinniśmy byli oczekiwać rewizji. Tymczasem stosunek do nas stróża i szwajcara nie ulegał zmianie. Zachodziliśmy w głowę, tem bardziej, że szpicle nie ceremonjowali się wcale i obstawiali nasz dom w sposób zupełnie widoczny...

Pewnego dnia Sazonow sterczał w bramie domu ze stróżem i szwajcarem, plotkując wedle zwyczaju.

W tym czasie podjechała dorożka, z której wysiadł adwokat Berensztam. Natychmiast za nim wśliznął się szpicel, do którego podbiegli stróż i szwajcar. Sazo-

now chciał przysunąć się również, ale go odpedzono.

Nie było wątpliwości — to Borensztam, a nie my, był śledzony. Daliśmy o tem znać petersburskiemu komitetowi, nie wiem jednak czy Berensztam został uprzedzony.

Tymczasem obserwacja nasza biegła swoim torem. Obserwatorzy nasi do najdrobniejszych szczegółów poznali powóz i świtę Plehwego. Zwłaszcza często Plehwego spotykał Kalajew, który jako papierosiarz mieszkał na przedmieściu kątem wraz z innymi pięciu papierosiarzami i pędził tręb życa do złudzenia przystosowany.

Plehwe w tym czasie mieszkał także na letnisku, na Aptekarskiej Wyspie i w czwartki wyjeżdżał porannym pociągiem z raportem do cesarza do Carskiego Sioła. Główna nasza uwaga była skoncentrowana na tych jego jazdach, ale dosyć nas zajmowały inne regularne wyjazdy Plehwego, mianowicie we wtorki do Marijskiego pałacu, na posiedzenie Rady Ministrów. Wszyscyśmy stale wartowali na ulicach, ale do największej wprawy doszedł Kalajew, który z ilości szpicli, z rozstawienia policji i t. p. nauczył się już przewidywać gdzie pojedzie Plehwe.

Bwło to w czerwcu. Azef, upewniwszy

się, że akcja nasza rozwija się dobrze, wyjechał z Petersburga. Car przeniósł się do Peterhofu i Plehwe zaczął jeździć we czwarstki już nie na Carskosielski dworzec, a na Baltycki. Sprawa dojrzała już zupełnie i wszyscyśmy rozumieli, że zamachu dłużej odkładać nie należy. W tym czasie Sazonowa odwołała sprawę rodzinne, postanowiliśmy więc go „zwołnić”... W tym celu uciekliśmy się do fortelu. Rozbiłem wypadkowo lustro. Sazonow poszedł do portjerna i zaczął głośno się żalać na swój los:

— Dobre było miejsce — i kłapa!...
Wyrzucają...

— Za co?

— Rozbiłem lustro.

Portjer zdziwił się.

— Czyżby za lustro? nie może być?

Sazonow chwycił się z rozpazą za głowę:

— Żebyż to!... Rozbiłem to lustro i sprzątam... Pani posłyszala i jak wrzasnie: ty, psu bracie, lustroś rozbił, kanaljo...

— A ty co na to?

— Co ja na to? A ja jej powiadam: sama taka jesteś, jak na mnie mówisz.

Portier załamał ręce:

— Ależ z ciebie szalona pałka! Takie coś powiedzieć pani!... No, i cóż dalej było?

— Pani zaczęła płakać i krzyczeć...

przybiegł pan. nie powiedział ani słowa, tylko dał po karku i wyrzucił za drzwi.

Tedy na konwentyklu w portjerna po wzdychaniach i eksklamacjach, namówiono Sazonowa, ażeby przyszedł prosić o przebaczenie.

Ale nie wybaczyliśmy mu i wyjechał tegoż samego dnia. Zaraz potem i ja pojechałem do Moskwy. W mieszkaniu została Brylantówna i Iwanowska. Do Moskwy miał również przyjechać Kalajew i Szwajcer. Mieliśmy wspólnie omówić ostateczną organizację zamachu.

Szwajcer jednak spóźnił się do Moskwy i naradę odbyliśmy bez niego.

Z Moskwy Azef i Sazonow wyjechali nad Wołgę, a ja z Kalajewem wracałem do Petersburga. Na dworcu mikołajewskim, tuż przed odejściem pociągu, zauważyłem na peronie muskularną postać Szwajcera. Zawołałem na niego. Wsiadł do nas do wagonu, położył na siatkowej półce pakunek, poczem wyszliśmy razem na korytarz wagonu.

— Co słysząc?

Zakomunikowałem, że obserwacje nasze całkiem dojrzały i że przystępujemy do wykonania. Uśmiechnął się z zadowoleniem:

— Ja też mam już wszystko gotowe.

— Przywieźliście dynamit?

— Więcej, niż pud.

— Gdzież on jest?

Ruszył głową w kierunku przedziału.

— Na półce?

— Tak jest. Jeśli wybuchnie — nie posłyszemy: my pierwsi wyfruniemy „do lali”.

Wróciwszy do Petersburga, nie zajechałem już do swego wspaniałego mieszkania. Zamach był naznaczony na 8-go czerwca. Należało wykończyć ostatnie szczegóły, porozumieć się co do różnych drobiazgów

Zdecydowaliśmy, że pierwszy bombę będzie rzucał Boryszański, drugi — Sazonow, trzeci — Kalajew i wreszcie czwarty — Sikorski, młody robotnik, Żyd z Białegostoku, znajomy Boryszańskiego, wciągnięty przez tego ostatniego do akcji. On już oddawna, jak o specjalny zaszczyt, błagał o pozwolenie uczestniczenia w zamachu na Plehwego. Ów Lejba Sikorski miał 20 lat, bardzo źle mówił po rosyjsku i z trudnością się wyznawał w wielkim Petersburgu, który go przyprawiał o zawrót głowy. Boryszański chodził za nim jak niania, kupił mu jakiś morski płaszcz, pod którym łatwo było ukryć bombę, udzielał rad i wskazówek. Pomimo to Sikorski wciąż nie mógł się oswoić z nami;

zobaczywszy mnie po raz pierwszy, poczerwieniał jak rak.

Dałem mu 100 rubli na kupno płaszcza i ubrania. Wtedy poczerwieniał jeszcze bardziej:

— Sto rubli! Nigdy jeszcze w rękach nie miałem tak dużych pieniędzy...

Sprawił na mnie jednak wrażenie dzielnego i zdecydowanego chłopaka. Obawiałem się jedynie, żeby go nie wyspał brak znajomości języka i Petersburga.

Było umówione, że na wypadek niepowodzenia wszyscy miotacze, którzy ocaleją zwrócą swoje bomby Szwajcerovi, który ma je rozładować i przechować; o ileby zaś zamach się udał, każdy powinien był utopić swoją bombę. Postanowiliśmy tak dlatego, że zarówno rozdawnictwo, jak i, odwrotnie, zabieranie bomb przez Szwajcera zpowrotem, było połączone z niebezpieczeństwem, a jeszcze większem niebezpieczeństwem groziło rozładowywanie bomb. Każdy miotacz otrzymał dokładną wskazówkę, gdzie ma utopić bombę. Kalajew miał ją rzucić do stawów przy szosie Petersburskiej, Boryszański do stawu we wsi Wołynkinoj, Sikorski — w Nowie, wynajawszy łódkę bez łódkarza w Petrowskim parku. Prosiłem Boryszańskiego, ażeby mu specjalnie pokazał Petrowski park, co też ten uczynił.

PONOWNE NIEPOWODZENIE.

8 czerwca rano przyjechali Kalajew i Sazonow. Sazonow miał na sobie płaszcz i czapkę kolejarza; o tej porze z dworców Warszawskiego i Bałtyckiego podążało Izmajłowskim Prospektem wielu kolejarzy i w ten sposób nie ściagał on na siebie uwagi. Kalajew paradował w czapce portjera, ozdobionej złotymi galonami. Boryszański i Sikorski skrywali bomby pod płaszczami.

Przez całą noc Szwajczer, zamieszkujący Grand Hotel za paszportem angielskiego obywatela, przygotowywał bomby. Na zajutrz rano podjechał do hotelu ze swoją dorożką Dulebow; Szwajczer, wyszedłszy z niewielką walizką w rękę, siadł do jego dorożki. Pojechali na Nowopeterhowski Prospekt — miejsce spotkania z Sazonowem. Ja również tam oczekiwałem Sazonowa. Ale bądź to Sazonow się spóźnił bądź też zapomniał, w którym miejscu ma oczekiwać, doszło, że nie zastaliśmy go na miejscu spotkania. Kalajew czekał na Ryckim Prospekcie, a dalej jeszcze, na ulicy

Kurlandzkiej, oczekiwali we dwójkę Sikorski i Boryszański. Ponieważ pociąg odchodził punktualnie o godzinie 10 rano, a Plehwe nigdy się nie spóźniał, jadąc do cara, więc wręczanie bomb musiało być dokładne co do minuty i spóźnienie się jednego z miotaczy gmatwało sprawę i nawet mogło ją zupełnie zepsuć. To też krążyłem z niecierpliwością po Nowopeterhofskim Prospekcie, ale Sazonowa wciąż nie było. Spojrzałem na zegarek — nie było już ani chwili czasu do stracenia. W umówionej minucie, ukazała się dorożka Dulebowa, wioząca Szwajcera. Powiedziałem mu, że niema już czasu oczekiwać na Sazonowa i poleciłem znaleźć wprzód Kalajewa, wręczyć mu bomby, a wtedy już wrócić zpowrotem do mnie. Miałem nadzieję, że w międzyczasie Sazonow się znajdzie i zdąży wziąć bombę.

A jednak kiedy Szwajczer powrócił, Sazonowa wciąż nie było... Wtedy Szwajczer pojechał ku stanowisku Boryszańskiego i Sikorskiego, ale ci, nie doczekawszy się, już zeszli z miejsca. W ten sposób bombę otrzymał jedynie Kalajew.

Kiedy wreszcie spotkałem Sazonowa i zakomunikowałem mu, że zamach się nie udał, że Szwajczer już odjechał, przestraszyłem się, spojrzawszy na jego twarz: tak silny skurecz bólu i rozpaczny zmiał jego ry-

sy. Pobladł i nic nie mówiąc, opuściwszy głowę, zaczął oddalać się ode mnie. Dogoniłem go na rogu Izmańłowskiego Prospektu i w tejże chwili ostrym kłusem przejechała koło nas karetą Plehwego. Mignęły dobrze nam znane czarne konie, lokaj na koźle i szpicel - welocypedysta przy tylnym lewym kole. Sazonow wciąż nic nie mówił. Szliśmy tak milcząc, aż natknęliśmy się na Kalajewa. W liberyjnej czapce, również blady, z twarzą poraną niepokojem, dźwigał swą, niepożyteczną już, bombę. Jeden on tylko tkwił na swoim stanowisku z bombą w ręku i jeden on tylko spotkał z bombą w ręku Plehwego. Ale wiedząc, że inni miotacze nie otrzymali bomb, nie odważył się rzucić swojej: w ten sposób wykroczyłby przeciwko dyscyplinie. Nieudany zamach na długi czasby odciągnął sprawę zabójstwa Plehwego. Cała organizacja pochwaliła postępek Kalajewa.

Wyzaczyłem Sazonowowi na wieczór spotkanie w ogrodzie zoologicznym i poszedłem zobaczyć Boryszańskiego i Sikorskiego. To nowe niepowodzenie nie przynębiło nas tak, jak nieudany zamach 18 marca. Widzieliśmy, że miejsce i czas były wybrane dobrze: Plehwe przejechał o naznaczonej porze po Prospekcie Izmańłowskim; widzieliśmy też, że nietrudno go będzie zabić, bo gdyby w mojem lub Sazo-

nowa ręku były bomby, łatwoby nam było podbiec do karety; rozumieliśmy też to, że fiasco wynikło poprostu z powodu pła-taniny, niemal nieuniknionej przy mobilizowaniu w tak krótkim terminie tak dużej ilości miotaczy. Krzepiliśmy się nadzieją, że za tydzień nie powtórzymy swojej omyłki, a więc że Plehwe będzie zabity.

Kalajew oddał swoją bombę Szwajcero-wi, który ją rozładował, również jak i pozostałe trzy bomby, których nie udało mu się wręczyć. Wszyscy my, oprócz do-rożkarzy i Szwajcera, zebraliśmy się wieczorem w ogrodzie zoologicznym.

Sazonow był wciąż zgnębiony. Uważał siebie za głównego winowajcę i milczał. Milczeli inni. Wszystkich gryzło niepowo-dzenie i nikt nie odważał się mówić o tem głośno. Wreszcie Boryszański przerwał milczenie.

— Brak nam choćby jednego człowieka z brodą. Nic dziwnego, że mamy same niepowodzenia.

— Co chcecie przez to powiedzieć?
Boryszański odparł ze stoicyzmem:

— Ja powiadam: wszyscy młodzi ludzie. Nie umiemy robić roboty.

Sazonow zaczerwienił się i milczał. Z twarzy jego widać było, że cierpi okrutnie i z powodu swojej rzekomej winy i z po-

wodu uszczypliwych słów Boryszańskiego.
Ale Kalajew nie wytrzymał:

— A kto winien?

— Kto? czy ja wiem kto?

— Wyście sami winni. Jeślibyście wy z Leonem (Sikorskim) nie zeszli ze stano-wiska i gdybyście się doczekali Pawła (Szwajcera), to nie ja jeden bym otrzymał bombę, a byłoby nas trzech i moglibyśmy wtedy i bez Jakóba (Sazonowa) zabić Plehwego.

Boryszański wzruszył ramionami:

— Ja nie mogłem dłużej czekać. Cze-kałem tyle, ile mi czekać kazano. Dlacze-go się spóźnił Paweł?

Kalajew zaczął się unosić. Lakonicz-ność Boryszańskiego rozdrażniała go za-wsze okropnie. Wszystkim było ciężko i czuliśmy, że nic nam pomóc nie moż-z. Umówiliśmy się, że Sazonow, Kalajew, Boryszański i Sikorski pojedą do Wilna do Azefa i opowiedzą mu o wszystkim, co się zdarzyło, a także zakomunikują mu, że mamy powtórzyć zamach w przyszły czwartek 15 czerwca; ja zaś wraz ze Szwej-cerem mieliśmy pozostać w Petersburgu.

Omówiliśmy wszystkie szczegóły na dzień 15 czerwca i towarzysze wyjechali do Wilna. Azef pocieszył Sazonowa, któ-ry jednakże wciąż pozostawał przygnębio-ny, chociaż uważam, że nie zawinił on w

większym stopniu, niż my wszyscy. Jak się okazało w następstwie, znajdował się on w oznaczonym miejscu punktualnie o umówionej godzinie i jeśli mnie nie spot-kał, to tylko dlatego, że my, oczekując między ulicami Dziesiątej i Dwunastej Ro-ty, przecinającami Prospekt Nowopeter-hofski, nie dochodziliśmy aż do samych rogów i naskutek tego nie mogliśmy się spotkać.

Wieczorem 14 czerwca spotkałem się ze Szwajcercem w teatrze „Buff“. Też samej nocy oczekiwała go robota — miał ponownie nabić wszystkie cztery bomby — trzy po 6 funtów i jedną 12 funtową.

Taką wielką bombę postanowiliśmy sfabrykować dlatego, że wyrabiany przez Szwajcera dynamit z rosyjskich surowców był znacznie słabszy, aniżeli zagraniczny. Szwajcercer, jak zwykle, był bardzo spokoj-ny, ale wbrew swemu zwyczajowi kazał dać butelkę wódki.

— Obawiam się o Sikorskiego — po-wiedział, spoglądając na scenkę.

— Czego się obawiacie?

— Nie wiem, czy potrafi utopić bom-bę.

— Więc cóż robić?

Szwajcercer wzruszył ramionami.

— Czy ja wiem?

— A jeśli go zaaresztują?

— To trudno. Nie możemy dla jednego z nas ryzykować życia wszystkich. Ja tam mógłbym ponownie bomby rozładować, ale znowuż dla ich dawania puszczać w ruch dorożkarzy — to ryzykowne... Wogóle uważam, że o ile się uda, miotacze pozostali przy życiu powinni natychmiast wyjechać z Petersburga, a nie czekać na odawanie bomb.

Szwajcar mówił spokojnie i w sposób zdecydowany, i to, co mówił, było słuszne: nie podobna było z powodu Sikorskiego narażać na szwank bezpieczeństwa całej organizacji.

Zegnając się, Szwajcar spytał:

— A czy Sikorski wie, gdzie ma utopić bombę?

Powiedziałem, że nie tylko wie, ale że nawet na moje polecenie Boryszański jeździł z nim oglądać to miejsce.

Wtedy Szwajcar z ulgą w głosie powiedział:

— No, to już napewno da radę.

Nie wiedział, jak zawiedziemy się okrutnie.

Przy bramie parkowej Szwajcar szybkim ruchem zwrócił się do mnie:

— Wierzycie w powodzenie?

— Absolutnie.

— A ja wiem napewno: Plehwe jutro zostanie zabity.

— Napewno wiecie?

— Napewno.

I, śmiejąc się, wyciągnął ku mnie rękę.

— Do widzenia, towarzyszu. Jutro o dziewiątej!

PLEHWE ZABITY.

15 czerwca, pomiędzy ósmą i dziewiątą rano, spotkałem na dworcu Mikołajewskim Sazonowa i na Warszawskim — Kalajewa. Byli oni ubrani w tenże sam sposób, jak tydzień temu: Sazonow — jako kolejarz, Kalajew — jako portjer. Następnie pociągami na tenże sam dworzec przyjechali z Dynaburga, w którym zamieszkiwali w ciągu ostatnich dni, Boryszański i Sikorski.

Podczas kiedy ja spotykałem towarzyszy, Dulebow zaprzął dorożkę i pojechał do Północnego hotelu, w którym wówczas zamieszkiwał Szwajcar. Szwajcar siadł w dorożkę i zaraz po dziewiątej porozdawał bomby w umówionych punktach. Największa bomba, 12 funtowa, była przeznaczona dla Sazonowa. Miała ona formę cylindra, była opakowana w papier gazetowy i przywiązana szpagatem. Bomba Kalajewa była owinięta w chustkę. Kalajew i Sazonow nie ukrywali swych bomb, niosąc je w ręku. Boryszański i Sikorski ukryli swe bomby pod obszernymi płaszczami.

Tym razem rozdawanie bomb poszło doskonale. Szwajcar, spełniwszy swoje zadanie, wrócił do hotelu, Dulebow zaś stanął z dorożką nawprost Instytutu Technologicznego. Miałem go powiadomić bezpośrednio po zamachu o rezultacie. Maciejewski ze swą dorożką stanął nad „Obwodnym kanałem”. Pozostali, t. zn. Sazonow, Kalajew, Boryszański, Sikorski i ja zebraliśmy się przy cerkwi Pokrowskiej na ulicy Sadowej. Stąd miotacze jeden za drugim w przewidzianym zgóry porządku, — pierwszy Boryszański, drugi Sazonow, trzeci Kalajew i czwarty Sikorski — powinni byli przejść wzdłuż Angielskiego Prospektu i ulicą Drzewną, a potem wybrzeżem Kanału obwodowego wyjść na spotkanie Plehwego. Czas był wyliczony w ten sposób, żeby oni, idąc krokiem miarowym, spotkali Plehwego na Prospekcie Izmajłowskim pomiędzy Kanałem Obwodowym i ulicą I-ej Roty. Postępowali jeden za drugim w odległości czterdziestu kroków. W ten sposób zapobiegało się niebezpieczeństwu detonacji innych bomb od sąsiedniego wybuchu. Boryszański powinien był puścić Plehwego, aby mu zamknąć odwrót; dopiero Sazonow miał rzucić pierwszą bombę.

Był dzień słoneczny i jasny. Podchodząc do skweru przy Pokrowskiej cerkwi,

ujrzałem taki oto obrazek. Sazonow, siedząc na ławeczce, z ożywieniem szczegółowo pouczał Sikorskiego, gdzie ma utopić bombę. Sazonow był zupełnie spokojny i wydawało się, że o swoim bezpieczeństwie nie pamięta zupełnie. Sikorski słuchał go z nabożeństwem. O parę ławek dalej z twarzą, jak zwykle, spokojną, siedział Boryszański, przed sobą zaś cerkwią stał Kalajew i, zdjawszy czapkę, żegnał się kilkakrotnie szerokim znakiem krzyża.

Podszedłszy do Kalajewa, trąciłem go lekko w ramię. Żegnając się wciąż, zwrócił się ku mnie:

— Już czas?

Spojrzałem na zegarek. Było dwadzieścia po dziewiątej.

— Tak jest. Idź już.

Z dalszej ławki, leniwie przeciągając się, wstał Boryszański. Nie śpiesząc się, krokiem spacerowicza, ruszył ku Prospektowi Petersburskiemu. Za nim ruszył Sazonow i Sikorski. Sazonow uśmiechnął się, uściśnął rękę Sikorskiego i szybkim krokiem, wzniosłszy głowę, poszedł za Boryszańskim.

Teraz Kalajew, ucałował mnie, lekkiem swoim młodzieńczym i pełnym wdzięku krokiem poszedł za tamtymi. Ostatni wreszcie postępował Sikorski. Szedłem za nimi wzrokiem. W słońcu błyskały unifor-

mowe guziki Sazonowa. Niósł on swoją dwunastofuntową bombę w prawej ręce i widać było wysiłek, z jakim ją dźwiga.

Teraz ja zawróciłem zpowrotem po Sadowej i przeszedłszy naprzelaj wyszedłem Wozniesińskim Prospektem na Prospekt Izmajłowski z takim rachunkiem żeby spotkać na danym odcinku naszych miotaczy.

Już zewnętrzny wygląd ulicy mówił o tem, że Plehwe niebawem tędy pojedzie. Oficerowie i posterunkowi policji mieli postawy pełne naprężonego oczekiwania. Po rogach ulic płątały się figury szpicli.

Kiedym podchodził do ulicy Siódmej Roty, zobaczyłem, jak na jej załamaniu posterunkowy wyprężył się na baczność. W tejże samej chwili, na moście przerzuconym przez Kanał obwodowy spostrzegłem Sazonowa. Postępował w tenże sam sposób jak i wyruszył — wolnym krokiem, wysoko wznosząc głowę i trzymając bombę na zgiętem przedramieniu prawej ręki. W tejże chwili rozległ się tętent poza mną i wielkim pędem minęła mnie karetka unoszona przez dwa kare konie. Lokaja tym razem na koźle nie było, ale przy lewem tylnem kole jechał szpicel, jak się następnie okazało, agent ochranki Frydrych Hartman. Ztyłu jechali jeszcze dwaj szpicle powozikiem, zaprzężonym w czarnego rusa

ka. Nie było wątpliwości. Jechał Plehweł. Minęło kilka sekund. Sazonow znikł w tłumie, ale wiedziałem, że jedzie on teraz wzdłuż Prospektu Izmajłowskiego. Owe kilka sekund wydały mi się długie jak wiek. Nagle monotony zgłęb uliczny rozdarty został przez ciężki przytłaczający grzmot wybuchu. Bezpośrednio po tym zabrzączał srebrny trel lecących ze szklanych piętér szyb szklanych. Zobaczyłem wąski u dołu lej szarozółtego, czarnego u brzegu dymu, szerzący się coraz bardziej ku górze, aż wreszcie na wysokości czwartego piętra rozlewający się nad całą ulicą w brudny baldachim. Zdało mi się, że widzę pośród tego dymu wytryskające w górę jakieś drzazgi, strzępy, jakieś czarne kontury czegoś bliżej nieokreślonego.

Na mgnienie oka zaparło mi dech w piersi. Ale ponieważ oczekiwałem wybuchu, więc też prędzej, niż pozostająca na ulicy publiczność przyszedłem do siebie. Rzuciłem się ku miejscu wybuchu. Jakiś wystraszony głos krzyczał za mną: „niech pan nie biegnie — będą dalsze wybuchy.”

Kiedym podbiegał do miejsca katastrofy, dym rozwiął się już zupełnie. W powietrzu dawał się czuć silny zapach spalenizny. Tuż przede mną, na jezdni, o jakie cztery kroki od trotuaru, leżał Sazonow; unosił się na lewej ręce, wspartej o bruk,

głowa zaś mu leciała na prawe ramię; czapka zsunęła się i przepyszne wijące się kasztanowate jego włosy przesłaniały czoło; twarz była śmiertelnie blada, po czole i policzkach biegły wąskie pasma krwi; oczy miał zmętniałe i napół przymknięte; brzuch miał we krwi i wielka ciemno-krwawa kałuża pełzła z pod niego, szerząc się i pijąc pył uliczny.

Pochyliłem się nad nim, wpatrując się badawczo w jego twarz; badałem, czy żyje. W tejże chwili posłyszałem czyjś głos:

— A co minister? Minister podobno przejechał szczęśliwie.

Wtedy zdecydowałem, że Plehwe żyje, a Sazonowa zabito.

Stałem nad Sazonowem, nie wiedząc co robić. Oficer policyjny, błądy, szcękając zębami z emocji, podszedł ku mnie i wymachując rękami w białych rękawiczkach, szybko i w sposób półprzytomny powtórzył:

— Proszę odejść... Panie, proszę odejść...

Odwróciłem się i zacząłem się oddalać w stronę dworca Warszawskiego. Odchodząc, nie zauważyłem, że o parę kroków od Sazonowa leżał zniekształcony trup Plehwego i rozbite ułamki karety. Nawprost mnie biegł tłum ludzi: murarze w fartuchach czerwonych od ceglanego

pyłu. Przebijałem się przez ten tłum, a w głowie uporczywie tkwiła mi jedna myśl:

— Plehwe żyje. Sazonow zabity.

Długo tułałem się po mieście, zanim machinalnie nie znalazłem się nawprost Instytutu Technologicznego. Tam wciąż jeszcze oczekiwała dorożka Dulebowa; siadłem w nią.

— No i co? — spytał Dulebow.

— Plehwe żyje...

— A Sazonow?

— Zabity.

Bolesny skurcz ściągnął twarz Dulebowa, którego serdecznym przyjacielem był Sazonow. Jechaliśmy w milczeniu. Po jakimś czasie Dulebow odwrócił się ku mnie.

— Co teraz robić?

— O godzinie trzeciej zajedźcie pod Instytut Technologiczny. Zwróćcie wam wtedy bombę.

Dulebow kiwnął głową.

Pożegnawszy się z nim, poszedłem do ogrodu Jusupowa, w którym, w razie nieudanego zamachu, powinni byli zebrać się pozostali przy życiu bojownicy. Miałem nadzieję, że nie wyaresztowano ich wszystkich i zwróćcie nienaruszone bomby. Chciałem niezwłocznie rozstawić ich i czekać na Plehwego, kiedy będzie powracał. Wiedzieliśmy, że zwykle wraca od cesarza pomiędzy godziną trzecią a czwartą. Mio-

taczami powinniśmy byli zostać my z Dulebowem oraz ci, którzy pozostali przy życiu.

W ogrodzie Jusupowa nie zastałem nikogo.

Kalajew szedł za Sazonowem przez cały czas, pilnie bacząc, aby zachowywać odstęp czterdziestu kroków. Kiedy Sazonow wszedł na most na Obwodowym kanale, Kalajew zobaczył, że nagle przyspieszył kroku. Z tego zrozumiał, że zobaczył karetę. Kiedy ta ostatnia zrównała się z Sazonowem, Kalajew już wszedł na most i ze wzniesienia widział przebieg wybuchu; widział, jak się rozpadła karetka. Zatrzymał się w niepewności. Nie było widomem, czy Plehwe został zabity, czy też nie, i czy w takim razie należało przygotować się do rzucenia drugiej bomby. Kiedy tak rozmyślał na moście, przemknęła koło niego okrwawiona para koni, ciągnących przednie koła oderwane od karety; wtedy zrozumiał, że Plehwe jest zabity. Zawrócił ku dworcowi Warszawskiemu i skierował się wolnym krokiem ku stanowisku Sikorskiego. Po drodze zatrzymał go jakiś stróż.

— Co się stało?

— Nie wiem.

Stróż spojrzał podejrzliwie.

— Przecież stamtąd idziesz?

— No tak, stamtąd.

— Więc jakże nic nie wiesz?

— Skądże mam wiedzieć? Powiadają, że wieziono armatę, która pękła.

Kalajew zatopił swoją bombę w stawach i według umowy wyjechał tegoż dnia do Kijowa.

Boryszański słyszał wybuch za sobą, ułamki posypały mu się na głowę. Stwierdziwszy, że Plehwe nie jedzie zpowrotem, zatopił tak jak i Kalajew swoją bombę i wyjechał z Petersburga.

Sikorski, jakeśmy się obawiali, nie dał sobie rady. Zamiast pójść do Petrowskiego parku, wynająć łódkę bez łódkarza i wyjechać na morze, wynajął przy Instytucie Górniczym łódeczkę dla przeprawy przez Nowę i w oczach łódkarza rzucił bombę do wody. Właściciel łódki, zauważywszy to, zapytał co to takiego zostało rzucone. Sikorski, nie odpowiadając, ofiarował mu 10 rubli. Wtedy łódkarz odprowadził go do policji.

Władze śledcze przez długi czas nie mogły bomby odszukać i w ten sposób udział jego w zamachu na Plehwego pozostał niedowiedzionym, aż wreszcie już jesienią rybacy wyłowili przypadkowo sięcią tę bombę.

Nie zastawszy nikogo w ogrodzie Jusu-

pową, udałem się do łaźni i położyłem się na kanapce. W ten sposób przeleżałem aż do godziny drugiej, aż kiedy, według mego rachunku, nadszedł czas odszukania Szwajcera i przygotowania drugiego zamachu na Plehwego. Wyszedszy na ulicę, kupiłem machinalnie u gazeciarza dodatek nadzwyczajny, przypuszczając, że przynosi on jakieś nowe wieści z frontu rosyjsko-japońskiego. Na naczelnem miejscu rzucił mi się w oczy nekrolog i wychylająca się z żałobnych ramek twarz Plehwego.

O godzinie jedenastej ranny Sazonow został przeniesiony do szpitala Aleksandrowskiego, gdzie w obecności ministra sprawiedliwości Murawjewa zrobiono mu operację. Podczas badania, zgodnie z instrukcjami bojowej organizacji, odmówił wyjawienia swego nazwiska i udzielenia jakichkolwiek informacji.

Z więzienia drogą konspiracyjną otrzymaliśmy od Sazonowa list, w którym, między innymi, pisał:

„Kiedy mnie aresztowano, twarz moja stanowiła jedną opuchlinę, byłem raniony w prawy bok niemal śmiertelnie, na lewej nodze miałem oderwane dwa palce i strąskaną stopę.

Odzyskawszy przytomność i nie wiedząc • ile poważnie jestem raniony, chciałem przez samobójstwo uniknąć aresztu, ale

nie miałem siły wydobyć rewolweru. Wzięto mnie. Przez kilka dni następnych byłem w malignie, przez trzy tygodnie nie zdejmowano mi opaski z oczu, przez dwa miesiące nie mogłem poruszyć się na łóżku i odżywiano mnie jak dziecko, wlewając pokarm wprost do ust. Ajenci, udając lekarzy, budzili mnie, denerwowali celowo, opowiadali okropności o wybuchu. Nasłuchałem się masę urągania na „Żydowina” Sikorskiego... To były istne tortury!

Wróg jest nieskończenie podły i niebezpiecznie jest oddawać mu się w ręce, będąc rannym. Powiadomcie o tem towarzyszy. Żegnajcie, drodzy towarzysze. Cześć Słońcu, które wschodzi — wolności!

Sądzony razem z Sazonowem Lejba Sikorski, mieszkaniec miasta Knyszyna, z profesji garbarz, pracował od czternastego roku życia najpierw w Knyszynie, potem w miasteczku Krymkach, a wreszcie w Białymstoku. W Krymkach zetknął się po raz pierwszy z ruchem rewolucyjnym, ale wstąpił do partji dopiero w Białymstoku. Tam właśnie zaprzyjaźnił się z Boryszańskim, który w czerwcu 1904 roku zrekrutował go dla roboty bojowej.

Sprawa odbyła się trzydziestego listopada 1904 roku w Petersburskim Sądzie Okręgowym z udziałem sędziów przysięg-

łych. Sazonowa bronił słynny adwokat Karabczewski, a Sikorskiego — niemniej słynny Kazarinow. Wyrok pozbawił obydwu wszystkich praw obywatelskich, Sazonow został skazany na bezterminowe ciężkie roboty, a Sikorski na dwadzieścia lat. Taki stosunkowo łagodny wymiar kary (wszyscy, nie wyłączając Sazonowa, oczekiwali przekazania sprawy sądowi doraźnemu i kary śmierci przez powieszenie) był spowodowany tem, że rząd, mianując ministrem spraw wewnętrznych księcia Światopelka - Mirskiego, postanowił pójść na politykę ugodową i nie poruszać opinji publicznej wyrokami śmierci.

Obaj podsadni po wyroku zostali zamknięci w Szlisselburgu. W 1906 roku zostali przetransportowani ze Szlisselburga do straszliwej Akatujskiej katoggi.

Już ukazała się
„CZARNA PANI”
Antoniego Marczyńskiego
dawno zapowiadana
str. X + 258. Cena 6 zł.
Prenumeratom nie doliczamy
kosztów przesyłki.

Z Paryża donoszą, że

PIERRE BENOIT

pracuje nad nową powieścią

AXELLE

Poprzednie powieści tego autora:

Słone Jezioro 2 tomy po 95 gr.

Albertyna " " 95 gr.

Atlantyda " " 95 gr.

Wydal „Rój“ i są do nabycia wszędzie.